

Pismo.

MAGAZYN OPINII

MAJ 2022 | NR 5 (53)

SOCZEWKA PISMA

Czy Ziemia
nas wyżywi?

LITERATURA

Orbitowski
Rak

ESEJ

Pożytki
z samotności

STUDIUM

Polityka migracyjna
Polski: jaka
powinna być?

CENA: 17,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

05 >



9 772544 502203

MAGAZYN OPINII

Pismo.

MAJ 2022 | NR 5 (53)



lekcje poetyckie

Salony Silesiusa

7. Międzynarodowy Festiwal Poezji Silesius

10-15.05.2022 Wrocław

Gość honorowy Niemcy

premiery

debaty

czytania poezji

Wrocławski Dom Literatury | transmisje online | www.literatura.wroclaw.pl

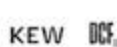
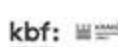
ORGANIZATORZY:



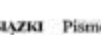
Dofinansowane ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



PARTNERZY:



PATRONI I MEDALNI:



Pismo.

MAGAZYN OPINII
MAJ 2022

PROZA FELIETON

Blok | 6 | ROZMOWY Z K. **Z punktu widzenia Potem**
ŁUKASZ ORBITOWSKI KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytania czytelniczki

Alef | 90 | PRZYPISY **À propos pokoleń**
RADEK RAK ZUZANNA KOWALCZYK

RZECZ GUSTU ROZMOWA

Redakcja poleca | 3 | **Odpowiedź dla akuszerki dziejów**
wydarzenia kulturalne w maju Z OKSANĄ ZABUŻKO rozmawia MAŁGORZATA NOCUŃ

APTECZKA SOCZEWKA PISMA

Co w niej trzyma... | 89 | **Ziemia, część 3. Jak nakarmić świat?**
ŁUKASZ BARYS TOMASZ ULANOWSKI sprawdza, czy wystarczy nam żywności

POEZJA ESEJ

[...] | 39 | **Obywatel imigrant**
JULIA CIMAFIEJEWĄ PAWEŁ MARCZEWSKI pyta o politykę migracyjną Polski

Urzeczona (fragment) | 69 | **W poszukiwaniu polskiej klasy średniej**
TARAS SZEWCZENKO KAMIL FEJFER zastanawia się, czy ona w ogóle istnieje

Serce, które kocha, kocha | 84 | **Pora skończyć z mówieniem o „pokoleniach”**
ANJA GOŁOB LOUIS MENAND rozmawia się z mitem konfliktu generacji

OBRAZ

80 | Więcej niż sto lat samotności
ZUZANNA KOWALCZYK o samotnym byciu ze sobą i z drugim człowiekiem

CYKL REMEDIUM **Dobry ślad** | 4
RAVA STORIES

FOTOREPORTAŻ **Bliskość** | 40
MARTA RYBICKA

GALERIA | 58
Szkicownik dla Ukrainy JOANNA KARPOWICZ

W RAMACH PISMA | 70
Działania z Dobromierzem KWIEKULIK

OKŁADKA **Mijanie się**
ZOSIA DZIERŻAWSKA

Pismo.

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wysznińska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i sekretarzowanie redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Idee: Karolina Lewestam, Ekonomia i Technologie: Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Marcin Czajkowski, Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wysznińska, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Natalia Czarkowska,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Reklama: reklama@magazynpismo.pl

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Z punktu widzenia Potem

Droga M.!

Francuzi mówią na to *après-coup*, Anglicy *afterwardness*, a Freud, od którego pochodzi to pojęcie, mówił *Nachträglichkeit*. Potem. To moment, kiedy patrzymy wstecz, i nagle przeszłe zdarzenia odsłaniają przed nami zupełnie inną twarz. Maski zdarzeń spadają. Oszukiwały, że zdarzenia są zwykłe; teraz widzimy, że były trudniejsze, niż nam się zdawało.

Nie znam twojej rodziny i nie wiem, kim byli dla ciebie ci, którzy odeszli. Może jedną z tych osób był, powiedzmy, twój kuzyn. Powiedzmy, że nazywał się Adam. Zdarzenie: Adam zadzwonił do ciebie pewnego dnia. Zadzwonił tak samo, jak dnia poprzedniego i każdego dnia z tysiąca wcześniejszych. Telefony Adama były natrętne jak muchy.

Tego dnia był już wieczór. Wróciłaś z pracy, zmęczona, marzyłaś o ciepłej herbacie i Netfliksie. Może chciałaś w końcu zacząć ostatni sezon *Doktora House'a*, który – wiadomo – nie jest tak dobry jak wcześniejsze sezony, ale podobno jednak znośny. Okryłaś się już kocem. Koło ciebie skulona na sofie siedziała ukochana osoba. Odebrałaś jednak telefon po długiej chwili wahania. Ze słuchawki popłynęło to, co zawsze – siczka dziwnych wypowiedzi, nieskładnych, nieprawdziwych. Może twój kuzyn, z czeluści nieleczonej manii, dowodził ci, że ma przepis na uratowanie świata, że spisek międzynarodowych elit może zostać zatrzymany dzięki konsumenckiemu bojkotowi produktów mlecznych, a zwłaszcza białego sera. Ty oglądałaś doktora House'a na wyciszonym telewizorze, wiedząc, że nie ma sensu prosić rozmówcy o kontakt z jakimkolwiek doktorem. Robiłaś to już tak wiele razy. W końcu go zbyłaś. – Tak, tak, nie będę jeść sera; pogadamy kiedy indziej – powiedziałaś zniecierpliwiona i pomyślałaś, że przecież masz swoje własne życie, że nie możesz spędzać wieczorów na takich rozmowach, że zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, aby pomóc mu się leczyć, i że teraz musisz wreszcie zacząć dbać o swój związek, o swoje dobro, o swój spokój ducha. Że musisz postawić granice, zwłaszcza komuś, kto odrzuca wszelką pomoc. Ile swojego życia jesteś winna rodzinie? Bo chyba nie całe, prawda?

I to była wasza ostatnia rozmowa. Nagle, z punktu widzenia Potem, nie zwykła, ale trudna, brzemienne w znaczenie. Przez *après-coup* twoje zwyczajne myśli („Ile jeszcze będę musiała tego słuchać? Co on gada? Niech skończy!”) stają się zdradą i moralną klęską.

Dlaczego mu nie pomogłaś? Dlaczego nie wstałaś z kanapy, nie wyłączyłaś serialu, nie pobiegłaś do niego? Nie otworzyłaś mu siłą ust, jak kotu, któremu trzeba dać tabletkę, i nie wcisnęłaś mu w gardło pigułek przepisanych przez psychiatrę? Czemu siedziałaś jak ta krowa, pod kocem, z pilotem w ręku, podczas gdy w nim działały się rzeczy straszne?

Oczywiście nic z tego się nie zdarzyło. Twój kuzyn nie nazywa się Adam, a ty wcale nie oglądałaś *Doktora House'a*. Ale gdyby się zdarzyło, to powiedziałabym ci: Pamiętaj, M., nigdy nie można zanadto ufać temu, co widać z Potem!

Potem jest bowiem znanym kłamcą i działa zwykle na rzecz swoich skorumpowanych lobbystów: poczucia winy i wstydu. Och, one uwielbiają Potem; to właśnie dzięki Potem mogą się wcisnąć tam, gdzie wcześniej nie było dla nich miejsca! Na przykład w spokojne wieczory, które ci się należały. W normalność, na którą zasługujesz. W zmęczenie, które jest twoim sprzymierzeńcem; jest po to, żeby cię chronić.

Nie daj się zwieść Potem. Wtedy było Teraz, Teraz, Teraz. I w tamtym Teraz wiedziałaś, że nie dasz rady nikogo uratować i że nie możesz tracić z oczu samej siebie. Może i Potem ma swoje mądrości, ale równie dużo ma ich Teraz, naprawdę! To w Teraz ludzie spotykają się na rodzinnych obiadach. Rozmawiają o robocie, kredytach, kłócą się o politykę. A gdyby siedzieli przy stołach z całą świadomością Potem, rozpadliby się na kawałki, próbując bezskutecznie zapobiec każdej śmierci, każdej chorobie, każdemu złu.

Ja też życzę ci wszystkiego, co najpiękniejsze.

Jak streścić rodzinną tragedię? W mojej rodzinie w ciągu pięciu lat zmarły trzy osoby, w tym dwie (w chorobie, a może przez nią?) targnęły się na swoje życie. Zachorowań na tle psychicznym w rodzinie było i jest więcej – podejrzewam, że chorobę afektywną dwubiegunową miał już pradziadek, choć nikt wtedy tego tak nie nazywał.

Żyje mi się dobrze, z kochaną osobą, pracuję w zawodzie, który lubię, zdrowie mi dopisuje. Nauczyłam się skupiać na tym, na co mam wpływ. Jednak co jakiś czas powraca do mnie poczucie winy, że nie pomogłam, gdy jeszcze był na to czas, że odcięłam się od tych, którzy żyją, lecz nie chcą się leczyć i pograżają się w szaleństwie, a ja nic już nie mogę zrobić. (...) Na koniec zostaje strach, który stale mam z tyłu głowy – że choroba i mnie dopadnie bądź w przyszłości zachorują na nią moje dzieci.

Śni mi się niekiedy, że spotykamy się na rodzinnym obiedzie. Rozmawiamy o robocie, kredytach, może nawet trochę się kłócimy o politykę.

Każdy sobie radzi w życiu, choć ma problemy i obawy. Jest normalnie, spokojnie, może nudnawo, ale siedzimy razem, rozmawiamy, a toast mojej mamy nie brzmi: „Wypijmy za to, że żyjemy”.

Życzę wszystkiego, co najpiękniejsze
M.

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w maju



Wystawa i licytacja sztuki *Refugees Welcome* w Muzeum Sztuki Nowoczesnej

15 maja w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie odbędzie się charytatywna aukcja sztuki *Refugees Welcome* we współpracy z Towarzystwem Przyjaciół MSN i Fundacją Ocalenie. Będzie to zwieńczenie trwającej od 8 kwietnia wystawy, na którą składają się licytowane dzieła sztuki. Dochód z ich sprzedaży zostanie przeznaczony na pomoc uchodźcom i uchodźczyniom.

WIĘCEJ: artmuseum.pl

Międzynarodowy Festiwal Poezji Silesius we Wrocławiu

Wrocławski Dom Literatury zaprasza na siódmą edycję Międzynarodowego Festiwalu Poezji Silesius. Między 10 a 15 maja odbędą się we Wrocławiu premiery nowych wydawnictw poetyckich, debaty (m.in. z gośćmi honorowymi z Niemiec, Słowacji i Ukrainy), przegląd najmłodszej poezji, ogłoszenie nominacji do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius oraz wydarzenia na styku poezji i muzyki.

WIĘCEJ: silesius.wroclaw.pl



Maj 2022

10

13

15

25

← 29



Festiwal Fabuły w Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu

Co dwa lata w Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu odbywa się Festiwal Fabuły – wydarzenie poświęcone fikcji literackiej oraz różnym formom narracji. Tegoroczna edycja, która potrwa od 25 do 28 maja, będzie obfitować w spotkania, m.in. z Douglasem Stuartem, Kateryną Babkiną, Julią Fiedorczyk, Salcią Hałas, Dominiką Słowik, Bartoszem Sadulskim czy Łukaszem Barysem.

WIĘCEJ: festiwalfabuly.pl

Festiwal Millennium Docs Against Gravity

19. edycja festiwalu kina dokumentalnego Millennium Docs Against Gravity potrwa w wersji stacjonarnej w kilku warszawskich kinach od 13 do 22 maja. W programie między innymi pierwsza w Polsce retrospektywa filmów Susan Sontag oraz premiera filmu *Simona* o najsłynniejszej polskiej biologce Simonie Kossak. Nie zabraknie również filmów poruszających najważniejsze sprawy polityczne i społeczne. W wersji online festiwal odbędzie się w terminie 24 maja – 5 czerwca.

WIĘCEJ: mdag.pl



Wystawa *New Inuit Art. Współczesna sztuka Inuitów z Kinngait* w Muzeum Etnograficznym

Do 29 maja w Państwowym Muzeum Etnograficznym w Warszawie można oglądać pierwszą w Polsce wystawę poświęconą współczesnej sztuce inuickiej. Kuratorem wystawy *New Inuit Art. Współczesna sztuka Inuitów z Kinngait* jest William Huffman, znawca rdzennej kanadyjskiej sztuki, związany z West Baffin Eskimo Cooperative – instytucją powołaną w Kanadzie do wspierania twórczości inuickich artystek i artystów; tych samych, których prace można oglądać do końca maja w Warszawie.

WIĘCEJ: ethnomuseum.pl

Dobry ślad

zdjęcie MATEUSZ MATUSZCZAK,
tekst JOANNA KINOWSKA

—

Ogołoczone ściany. Właściciele zdjęli z nich to, co najważniejsze, gdy trzeba było iść dalej. Albo zrobili to ci, co przyszli potem. Albo nowi lokatorzy kupili lub dostali, wynajęli, przesiedlili ich. Zdjęli ze ścian, bo to nie były ich wspomnienia, nie rozpoznawali żadnej twarzy. Ale może jednak zabrali ze sobą. Jeśli to były zdjęcia, bo podobno lepiej nie wieszać fotografii ludzi żyjących. To źle wróży.

Krzysztof Miller, fotoreporter, wspominał w książce *Biblia dziennikarstwa*: „Musiałem pójść w drogę razem z uchodźcami. Wędrówka trwała trzy dni i dwie noce. (...) Ludzie nie wytrzymywali trudów marszu, wielu umierało. Nie niosłem, jak oni, żadnego dobytku, miałem jedynie śpiwór i torbę z aparatami. Przy szlaku leżały przedmioty, które uciekający w miarę słabnięcia porzucali. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie zostawiali, były albumy z rodzinnymi fotografiami”.

Zdjęcie, o czym trochę już zapomnieliśmy, to wciąż coś namacalnego. Wybierz swoje ulubione zdjęcie z lutego, może stycznia tego roku. Zanim się zaczęło. Albo znajdź zdjęcia z ostatniego spotkania rodzinnego, z wizyty znajomych. Wyślij je do laboratorium, wydrukuj. Potem koniecznie napisz z tyłu: kto na nich jest, co się dzieje. Opraw i powieś albo włóż do albumu. Papier to papier. Nie potrzebujesz prądu ani sprzętów, żeby móc wrócić do wspomnień. To dobry ślad.





Blok

tekst ŁUKASZ ORBITOWSKI

SYN

Tego przedpołudnia Paweł dowiedział się, że młodszy syn nie jest jego. Parę tygodni wcześniej sprawdził telefon żony i odkrył flirt, może nawet romans, pogrzebał w przeszłości i wyszło, co wyszło. Gdyby chodziło o starszego, mniej by się zdziwił, ale Karol był naprawdę wykapany tata, zdarta skóra, ten sam uśmiech, oczy. No, ale geny nie kłamią.

Wrócił do domu. Obaj chłopcy siedzieli w swoich pokojach. I co teraz? Próbował ułożyć w głowie dalszy bieg wypadków, i zastanawiał się, kto tak naprawdę jest ojcem. Przypominał sobie znajomych żony, jej byłych chłopaków i własnych kumpli. Znał kiedyś takiego jednego cwaniaka. Prowadzili razem przez jakiś czas sklep z obuwiem sportowym. Wesoły był to gość, taka szuja bez skrępułów, co wyszło przy tych butach. Bywał u nich i żona go, tego kumpla, najwyraźniej lubiła. Do prawdy nie dojdiesz, szkoda sobie głowę łamać.

Paweł nigdy dużo nie pił. Nalał sobie szklankę, wypił duszkiem, nalał drugą i usiadł. Co teraz? Pewno się rozwiezie. Wiele mógł znieść, ale nie to, nie takie oszustwo. Liczył, że sąd weźmie jego stronę i powierzy mu opiekę nad dziećmi, a ta kurwa niech znika mu z życia i płaci alimenty. Napił się jeszcze. Tak właśnie powinno być, z tymi alimentami. Ale co z Karolem? Jak nie jest jego synem, to czy sąd mu go przydzieli?

Rozdzielenie chłopców byłoby czymś strasznym. Karol w ogóle nie powinien się o tym dowiedzieć. To sprawa między dorosłymi. Rozmyślał dalej, popijał i próbował dojść do ładu z tym wszystkim.

W pewnej chwili do kuchni wszedł Karol i zapytał, czy ojciec nie chce herbaty. A może obrać mu pomarańczę? Często pytał o takie właśnie rzeczy, mechanicznie i bezmyślnie, a ojciec, który nie był już ojcem, odmawiał tak wtedy, jak i dziś. W zamian pchnął chłopca, mocno i bez żadnego ostrzeżenia. Karol przeleciał przez kuchnię, uderzył o lodówkę i zsunął się po niej. Nawet nie płakał, tylko patrzył przed siebie, zdumiony i przestraszony. Coś takiego nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Paweł uklęknął przy nim i objął go mocno:



– Synku, przepraszam – rzekł. – Nie wiem, co mi się stało. Naprawdę nie wiem.

KUSTOSZ

– Nie umiesz się zachować i jeszcze się zachowujesz – powiedział.

Tych dwoje spotkałem w Biedronce pod blokiem. Oboje chyba koło czterdziestki. Od masek zaparowały im okulary. On nosił odzież militarną, ona polar czy coś takiego. Wielcy, workowaci jak trolle. On zabrał z półki dwa piwa Kustosz w dużych plastikowych butelkach. Ona ciągnęła koszyk z drobnymi zakupami: jakiś tani ser w plastrach, jogurt, bułki. Cały czas się kłócili. Zgubiłem ich gdzieś w sklepie.

Wykładałem zakupy z wózka na taśmę przy kasie, gdy powrócił ten gość. Ciągle trzymał dwa kustosze. Ścisnął je w wielkich dłoniach jak szyje zastrzelonych ptaków. Zawsze robimy duże zakupy, więc powiedziałem, że go przepuszczę, skoro ma tylko te piwa i nic więcej. Zrobiłem błąd, bo facet przecisnął się koło mojego wózka, wyrósł przed kasierką, zaś z głębi Biedronki nadpłynęła ona, z czerwonym koszykiem najtańszego żarcia.

– Wracaj, co ty robisz, przecież musisz zapłacić za to wszystko – wołała. Najwyraźniej on jeden z tej dwójki miał jakieś pieniądze. Znow zaczęli się kłócić, głośno, lecz



bez brzydkich słów, których przecież nie wolno używać przy ludziach. On darł się, że ma jej dosyć, ona przypominała o jedzeniu. Tak przekrzykiwali się nad moją głową, czemu przyglądała się zmęczona kasjerka. Widać, że przywykła i do gorszych sytuacji. W końcu skasowała te dwa kustosze, facet porwał je jak diabeł dobre dusze, i tyle go widzieli.

A ona została. Z tym serem i jogurtem w koszyku. Rozejrzała się, mechanicznie zmacała kieszeń polaru, bez nadziei, że znajdzie w niej jakikolwiek grosz, po czym usiadła pośrodku alejki sklepowej, gdzieś między cukrem a belami papierowych ręczników. Zaczęła jeść. Łamała ser w palcach i popychała bułką w głąb ust, gwałtownie, szybko, bo stary, zasapany ochroniarz w plastikowej przyłbicy już pędził w jej kierunku.

SZUFLADY

To już blok starych ludzi jest. Weźmy tę z mieszkania obok. Dziewięćdziesiątka na karku. Gdy mąż zmarł, dostała alzheimera i mamy z nią sto pociech. Za dnia śpi, nocą łązi i gada albo wrzeszczy. Syn się do niej sprowadził, podobno aż z Kanady, tylko co on może sam jeden?

Moim zdaniem miejsce tej pani jest w ośrodku, tylko tam nikt nie chce takich kłopotliwych ludzi. Ciekawe, czy syn ją ubezwłasnowolni. Z tym też korowody w naszych sądach. Prędzej umrze, nim ją przeniosą, tyle to się teraz wlecze. A ona niebezpieczna i sam się trochę boję. Raz zostawiła gaz odkręcony i mogliśmy wszyscy wylecieć w powietrze. Syn akurat gdzieś poszedł. Wcale mu się nie dziwię, bo z taką matką można dostać szmergla. Ważne, że syn wrócił i odtąd gaz jest zakręcony zawsze, kiedy go nie ma.

Ona w ogóle robi różne dziwne rzeczy. Na przykład wyrzuciła pościel przez balkon i z tego, co syn mówił, sama chciała skakać. Wysoko, więc byłoby po niej. Jakoś ją powstrzymał. Innym znów razem widziałem, jak zamiatała śnieg u nas pod blokiem. Luty był, ona w kłapkach, szlafroku i jeszcze tłumaczyła mi, że ta miotła to grabie. Może się jej młodość przypominała? Oni, ta rodzina, chyba ze wsi są.

Raz spotkałem ich w windzie, syna i ją. Skarżyła się, że posiada gdzieś klucze. Syn

tłumaczył cierpliwie, że na pewno je ma, bo przed chwilą zamykała mieszkanie. Ona przetrząsała kieszenie, chciała wracać, bo niby zostały w drzwiach, i w końcu wysypała wszystko z torebki. Te klucze też. Ucieszyła się na ich widok. Syn na kolanach wybierał to, co pospadało, i wreszcie zwolnili windę. Przeszli może sto metrów i ona znów chciała wracać, bo posiadała gdzieś klucze.

Ten syn często wychodzi i chyba wybiórę się do tej pani z wizytą. Mieszkamy obok siebie kawał czasu, niekiedy rozmawiamy, to pewno mnie wpuści. Posiedzę tam, aż ona zapomni, że przyszedłem. Ciekawe, co trzyma w szufladach.



DO KOCBOROWA

Wczoraj naszego pułkownika zawinęli w kaftan. No, tego z klatki obok. Elegancki

pan. Zawsze mówił dzień dobry, do widzenia i nigdy nie marudził w sklepie. Stary, a postawny. Ciekawe, co tam, w wariatkowie, robią takim jak on.

Wszystko przez to, że przeszedł na emeryturę. Póki pracował, u nich w domu grało i ludzie mu się kłaniali. Ledwo zdał mundur, weszli mu na głowę. Żona i dwóch synaków. Tak właśnie jest. Nie pracujesz, nikt cię nie szanuje. Wykształcony był, nosił order, a jednak tego nie wiedział.

Słyszeliśmy, jak żona na niego wrzeszczy i próbuje go ustawiać. Przez osiedle ona szła zawsze przodem, on człapał za nią i ścisnął portfel z pieniędzmi. Synkowie to już w ogóle. Dwa tępę drągi. Robili łatwy szmal w tych całych korporacjach, więc szczali normalnie na ojcowską dolę i jego trud. Moim zdaniem to bardzo niesprawiedliwe. On ich jednak wychował i posłał na studia stacjonarne, no raczej nie w tym celu, by palili marihuanę i rozmawiali ze znajomymi po angielsku.

On w wojsku przywykł do rozkazywania i nie mógł się pogodzić z tym, że rodzina rozstawia go po kątach. Więc ich pozabijał, całą trójkę, żonkę i chłopaków. Trzydzieści lat małżeństwem byli. Uciął im głowy i położył się z nimi do wanny. Tak właśnie czekał na policję, z głowami najbliższych i we krwi po brodzie. Po czymś takim zawinęli go w kaftan bez dwóch zdań. A ja się zastanawiam, co ci synowie i żona myśleli sobie, jak im te głowy rznął. Pewno zrozumieli swoje błędy, ale już było za późno. Mogli go nie wkurwiać, że tak powiem.

BÓG MOJEJ SIOSTRY

Więc moja siostra znów zaszła w ciążę z Jezusem. Przynajmniej tak wbiła sobie do głowy. Niby nic, ale do pewnych rzeczy trudno się przyzwyczaić. Chodziła cała w nerwach i zastanawiała się, co to będzie: po takim ojcu to dzieciak na pewno zacznie ożywiać wróble, a przynajmniej skończy licencjat z wyróżnieniem.

Myśmy się jej z matką pytały, czy przypadkiem nie wydarzyła się jakaś sympatyczna



pomyłka, bo oprócz Jezusa mamy paru kandydatów. Weźmy tego Ligotę, co mieszka przy kościele. Sam proboszcz też nie jest święty, tak swoją drogą, ale Ligota przychodził do niej, póki nie siadło mu zdrowie. Jeszcze zeszłej wiosny dwóch gliniarzy sztachetą położył, teraz wygląda jak trup i ma stopę cukrzycową.

Do siostry przyjeżdża też ancymon z Warszawy. Szykowny, nie powiem, w kapeluszu. Nosił apaszkę zamiast szalika i zamawiał małże do pokoju hotelowego, gdzie się gzi-li, póki żona tego warszawiaka o wszystkim się nie dowiedziała. Wiem, siostra mówiła. Niektórzy to żyją. Kręci się przy niej też taki jeden uczony młokos. Całkiem dla niej rozum stracił. Jest radnym na dzielnicy, więc ma jakąś przyszłość, z drugiej strony ponoć wiersze pisze, co źle wróży. A siostra nie bardzo wie, co z nim zrobić, bo o dekadę młodszy i ludzie dziwnie patrzą.

Można powiedzieć, że trochę się dzieje u siostry, a ona uparła się na tego Jezusa. Jezus to, Jezus tamto. Czuwała z różańcem od świtu, przez co była potem nie do zniesienia, jak każdy, co się nie wysypia. Lubiła też wspominać o tym, że spadnie na nas światło i wszystkich odmieni. Ją to na pewno. W końcu pojechałam do apteki i zrobiliśmy test ciążowy. Siostra zastanawiała się w kółko, chłopak czy dziewczynka. Ostatnim razem Bóg miał syna, więc pasowałyby córeczka. Ale test wyszedł negatywny. Zważywszy na tryb życia siostry – to cud.

KLOPS

Wycięli drzewo, na którym chciałem się powiesić. Idę sobie przez park jakby nigdy nic, a tu bach, nie ma.

Był to wspaniały klon z grubym pniem i stabilnie kuszącą gałęzią. Ja do życia przejawiam stosunek poważny i z umiarem mam podobnie. Wybrałem ten klon spośród kilkudziesięciu innych drzew w całym powiecie. Testowałem odporność tej gałęzi i starannie wymierzyłem długość sznura, dołączając przy tym wysokość stołka.

Klon rósł na skraju parku, otoczony zarosłami. Był niewidoczny tak ze ścieżki, jak i z dalekich bloków, wiem, bo tam wszedłem i sprawdzałem widok, piętro po piętrze. Rozpracowałem ludzi z psami i wybrałem godzinę. Najlepiej wieszać się przed świtem. Z oczywistych względów oczekiwałem spokoju i samotności, chciałem jednak nie wisieć zbyt długo. Wolałbym też, aby nie znalazły mnie dzieci.

Wszystko było gotowe, już witałem się z gąską i nagle ścięli to cholerne drzewo. Zostałem obalony, poćwiartowany w pień w noc przed próbą generalną. Teraz muszę znaleźć nowe drzewo albo żyć dalej. Nie wiem, co trudniejsze.



MIEJSCE

Nigdy wcześniej go nie uderzyłem. Jasne, były powody, na przykład gdy miał sześć lat i szliśmy przez centrum handlowe, to chciał tego czy tamtego, popcornu, doładowania, happy meal albo po prostu do domu, jak nie dostawał, to kładł się na podłodze i wrzeszczał. Brałem go na ramię jak tobół, bił wtedy i kopał, ludzie patrzyli.

To trudne dziecko, matka też taka była. Na przykład nie chciał jeść, co jeszcze można zrozumieć, bo każdy smark ma swoje smaki.

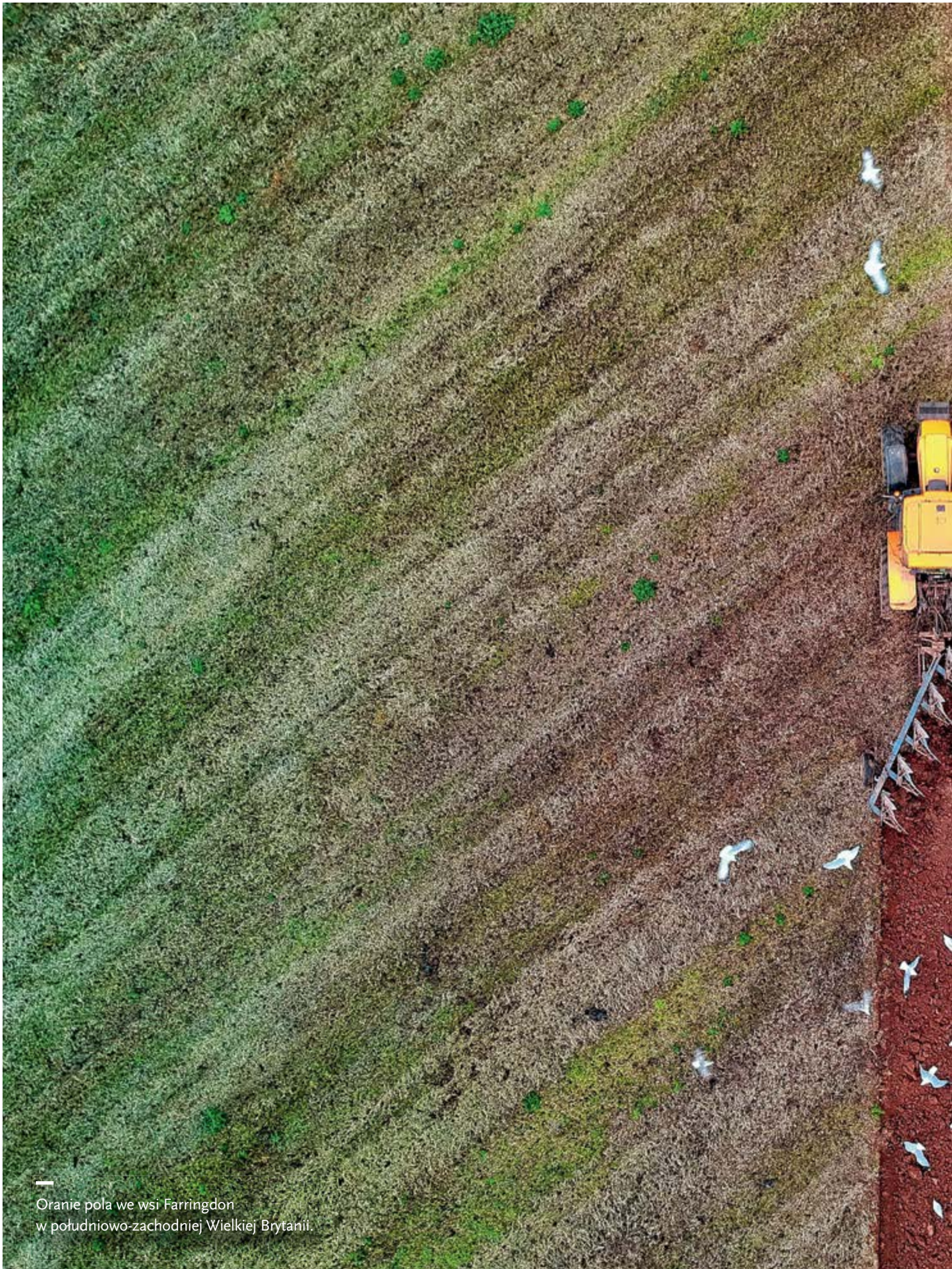
On jednak, mój Kamil, był złośliwy. Pokochał ogórkową, chciał jeść tylko ją, do czasu aż zrobiłem znów cały garnek, podsunąłem pod nos, a on powiedział, że nie zje. Smakowała mu, ale już nie smakuje. Zaraz potem łąził, marudził i wrzeszczał, jaki to jest głodny, mówiłem, że czeka ogórkowa, że lodówka pełna jedzenia. Same świństwa, odpowiadał. Powinienem mu wpychać jedzenie do ust, wtedy by się nauczył, ale jestem dobrym, cierpliwym człowiekiem, dlatego tego nie zrobiłem.

Tak samo z myciem i chodzeniem spać, przez długi czas co wieczór następowała znajoma teatralna awantura. Aż rzygać się chciało, gdy zapadał zmrok. Płakał i kładł się na ziemi tyle razy, że wreszcie wepchnąłem go pod prysznic i zalałem ubranego strumieniem zimnej wody. Przynajmniej zamknął mordę i wlepił we mnie zdziwione oczy. Ale ze spaniem tak się nie da, nie wepchniesz dziecka do łóżka, nie sprawisz, żeby było cicho. Wyłąził i głośno komunikował nam wszystkim, że nie chce spać. Zamontowałem zamek w drzwiach jego pokoju, zamknęty dał się i tłukł tak, że sąsiedzi przyszli.

Dziś zaczął grać na flecie, takiego właśnie instrumentu zażądała pani od muzyki. Kamilek dał w niego ile sił, choć prosiłem, by przestał. Zabrałem, więc zaczął krzyczeć, że bym pojął skalę jego krzywdy. Sobota, oglądałem telewizję i naprawdę chciałem oglądać ją dalej, bo potrafię znaleźć w sobie spokój mimo tych wrzasków, a on, mój Kamil, stanął przed samym telewizorem, rozkrzyżował ramiona, zasłaniając wszystko, do tego dupskiem do mnie. Nie dałem rady. Palnąłem go w łeb. Każdy ojciec by tak zrobił.

Gdzie ja go zakopię?





Oranie pola we wsi Farringdon
w południowo-zachodniej Wielkiej Brytanii.



SOCZEWKA PISMA

Ziemia, część 3. Jak nakarmić świat?

tekst TOMASZ ULANOWSKI

POTRZEBUJEMY NOWEJ rewolucji rolniczej.
Inaczej nie wyżywimy rosnącej populacji,
równocześnie redukując ślad węglowy
i ratując środowisko.

Przy odrobinie szczęścia, jeśli chmurzy nie schodzą za nisko, przed lądowaniem na lotnisku w Amsterdamie można się napatrzeć na niezwykle niderlandzki krajobraz. Zielone równiny polderów są poprzecinane rowami melioracyjnymi, oczkami wodnymi i kanałami ściągającymi wodę z gruntu. Wały przeciwpowodziowe oddzielają je od domów pobudowanych poniżej lustra wody. Przy budynkach mieszkalnych nie tylko parkują samochody, ale i cumują łodzie.

Zmysłny system wałów, grobli, tam, śluz i przepompowni (niegdyś napędzanych przez malownicze wiatraki, dziś – silniki elektryczne) odprowadza wodę do morza, a podczas sztormów nie pozwala falom morskim wdrzeć się ujściami rzek w głąb lądu. Gdyby nie wynalazcy i inżynierowie, największe miasta Niderlandów („niskich ziem” – ledwie połowa ich dzisiejszego terytorium wystaje na więcej niż metr ponad poziom morza) znajdowałyby się pod wodą.

Najdłuższa i najsłynniejsza niderlandzka tama Afsluitdijk chroni Amsterdam. Jeśli moje plany na najbliższy rok się spełnią, tej jesieni przemaszera ją pieszo z Fryzji do Holandii. Afsluitdijk ma 32 kilometry długości, 11 metrów wysokości (z czego ponad 7 metrów ponad poziomem morza) i 90 metrów szerokości. W 1932 roku, po pięciu latach budowy, odcięła zatokę Zuiderzee od Morza Północnego, tworząc słodkowodne jezioro IJsselmeer. Dzięki niej Niderlandy zyskały w kolejnych latach blisko półtora tysiąca kilometrów kwadratowych nowego lądu. Afsluitdijk jest z nazwy wałem (*dijk*), a nie tamą (*dam*), bo według pierwotnych planów cała Zuiderzee miała zostać osuszona.

Mieszkańcy nawiedzanych przez ulewne deszcze, położonych w delcie Renu, Mozy i Skaldy Niderlandów wydzierają ląd wodzie od XIV wieku. W efekcie dziś aż jedna czwarta powierzchni Holandii znajduje się poniżej poziomu morza. Prawie 42 tysiące kilometrów kwadratowych zamieszkuje ponad 17 milionów ludzi. Dla porównania: Polska ma 313 tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni i 38 milionów mieszkańców. Pod względem gęstości zaludnienia Holandia, gdzie aż 419 osób przypada na każdy kilometr kwadratowy, ustępuje w Europie tylko Monako, Watykanowi, Malcie i San Marino.

Oprócz ludzi mieszka w niej niemal 100 milionów kur (w Polsce 186 milionów), ponad 11,3 miliona świń (w Polsce odrobinę mniej) oraz 3,8 miliona sztuk bydła (w Polsce 6,4 miliona), z czego prawie połowa to krowy mleczne. Dużemu spożyciu nabiału i mięsa przypisuje się fakt, że Holendrzy są najwyższym narodem na świecie – mężczyźni mierzą przeciętnie 184, kobiety 170 centymetrów wzrostu.

Tereny naturalne stanowią niecałe 15 procent lądu Holandii (lasy porastają blisko jedną trzecią powierzchni Polski). Grunty rolne – 54 procent (w Polsce – 47 procent). W Europie trudno o kraj, którego przyroda została mocniej przekształcona przez człowieka.

Dał Holender przykład, jak gospodarzyć mamy?

DAVID ATTENBOROUGH [jego portret opublikowaliśmy w „Piśmie” nr 4/2020 – przyp. red.] w swojej książce i filmie pod tytułem *Życie na naszej planecie* z 2020 roku przedstawia Niderlandy jako wzorcowy przykład rozwoju rolnictwa, który powinny naśladować także inni. „Holenderscy rolnicy stali się ekspertami od wyciągania maksimum efektu z każdego hektara” – pisze, a w filmie chwali szczególnie pionowe uprawy warzyw i owoców (w halach, pod sztucznym światłem i bez gleby) i dodaje: „Mimo swojej powierzchni Holandia jest dziś drugim pod względem wielkości eksporterem żywności”. Według rządowych danych rocznie sprzedaje za granicę produkty rolne o wartości 65 miliardów euro, ustępując wyłącznie Stanom Zjednoczonym.

Krótko po premierze filmu słowa brytyjskiego przyrodnika skontrował holenderski ornitolog, ekolog (badacz ekosystemów) i dziennikarz piszący o rolnictwie doktor Thomas Oudman. W portalu De Correspondent opublikował list otwarty, w którym wytknął „drogiemu sir Davidowi Attenborough”, że promowanie jego kraju jako wzoru rolniczego to fatalny błąd, a przedstawiane w *Życiu na naszej planecie* pomysły na ratowanie dzikiej przyrody jeszcze bardziej by ją zniszczyły.

„Jesteśmy mistrzami świata w eksporcie [produktów rolnych – przyp. T.U.] nie dlatego, że uprawiamy główki sałaty jedna na drugiej czy prowadzimy zrównoważone uprawy pomidorów w stylu *science fiction*” – napisał uczony. Powodem są cięte kwiaty. „Zużywamy gros energii po to, by zaopatrywać rosnącą populację świata w kwiaty!” Bez nich drugim największym eksporterem żywności na świecie są Niemcy, kolejne miejsca zajmują Wielka Brytania i Chiny, a Holandia – dopiero piątą.

I tak nieźle jak na malańki, doświadczony przez geografę i klimat kraj.

Dalej Oudman punktował, że Holandia „ma największe zużycie pestycydów na hektar w Europie”, a jej uprawy przemysłowe, szczególnie w szklarniach, wymagają ogromnych ilości nawozów sztucznych. Są też najbardziej energochłonnym sektorem państwa. „Pożerają do 10 procent zużycia gazu ziemnego w kraju – pisał naukowiec. – Tyle samo co połowa holenderskich domów”. I aż 80 procent całej energii zużywanej przez holenderskie rolnictwo. Wysokie koszty z tym związane byłyby nieopłacalne, gdyby nie ulgi podatkowe. Uprawy wertykalne, którymi tak się zachwycał sir David, pochłaniają jeszcze więcej energii niż zwykłe szklarnie.

Przepływu energii, tej „jedynej uniwersalnej waluty”, o której – czerpiąc pełnymi garściami ze znakomitej książki *Energy and Civilization. A History (Energia i cywilizacja. Historia)* profesora Václava Smila – pisałem w pierwszej „Soczewce Pisma” z cyklu *Ziemia* [„Pismo” nr 2/2022 – przyp. red.], w niderlandzkim rolnictwie jest wręcz absurdalny. Oudman podkreślał: „Jeszcze w 1950 roku każde 100 dzuły energii wyciążanej przez holenderskich rolników z paliw kopalnych dawało plony o energetycznej wartości odżywczej 107 dzuły. Dziś każde 100 dzuły paliw kopalnych produkuje ledwie sześć dzuły ukrytych w produktach rolniczych”. To efekt przeznaczenia ogromnych ilości energii na produkcję nawozów sztucznych, napędzanie maszyn rolniczych, stawianie budynków (w tym szklarni) i transport żywności (w tym do innych krajów).

Z punktu widzenia bilansu energetycznego nowoczesne niderlandzkie rolnictwo przynosi czyste straty. Funkcjonuje tylko dlatego, że wykorzystuje energię ukrytą setki

milionów lat temu w wiązaniach chemicznych gazu, ropy naftowej i węgla, których człowiek nie mógłby przecież zjeść.

To nie wszystko. Jak pisał Oudman, 30 procent eksportu holenderskiej żywności jest importowane z innych krajów, a potem przetwarzane i reeksportowane. Ponadto wiele produktów składających się na pozostałe 70 procent pochodzi również z innych krajów, w tym niesławny olej palmowy, który producenci żywności dodają do niemal wszystkiego, bo jest tani i długo zachowuje świeżość. A pod którego produkcję (uprawy olejowców gwinejskich) wycina się lasy tropikalne, między innymi w Indonezji, czyli byłej holenderskiej kolonii. Małe Holandia jest czwartym największym importerem oleju palmowego – po Indiach, Chinach i Pakistanie.

Jakby tego było mało, „na użytek własnej konsumpcji Holandia wykorzystuje 2,5 razy więcej gruntów rolnych, niż sama posiada” – zwrócił uwagę Oudman. Jak to możliwe? To historia stara jak świat: zasobna wspólnota, która wydrenowała własne środowisko naturalne, eksploatuje przyrodę biedniejszych. Jak w marcu 2021 roku podsumowali w piśmie „Nature Ecology & Evolution” naukowcy z Japonii, mieszkańcy wszystkich krajów rozwiniętych rabują dziś lasy tropikalne należące do tak zwanych państw rozwijających się. Niemcy importują kakao uprawiane na zabranych lasach gruntach Wybrzeża Kości Słoniowej i Ghany. Japończycy – którzy zrównoważoną gospodarkę leśną wprowadzili u siebie już w XVII wieku i w efekcie lasy porastają dziś aż 67 procent, a grunty uprawne obejmują ledwie 14 procent powierzchni Kraju Kwitnącej Wiśni – importują wanilię, bawełnę i sezam z niszczącej swoje lasy Tanzanii, a drewno, podobnie jak chroniący swoje lasy Chińczycy, z innych państw Azji Wschodniej. Smakosze kawy z Niemiec, Włoch i USA przyczyniają się do niszczenia lasów w Wietnamie. Polska importuje rocznie towary rolno-spożywcze o wartości prawie 25 miliardów euro (za granicę wysyłamy żywność wartą 37 miliardów). Nasze uzależnienie od kawy, kakao, bananów czy przemysłowych słodczy i pozostałych produktów zawierających olej palmowy też ma wymierny koszt środowiskowy w innych krajach.

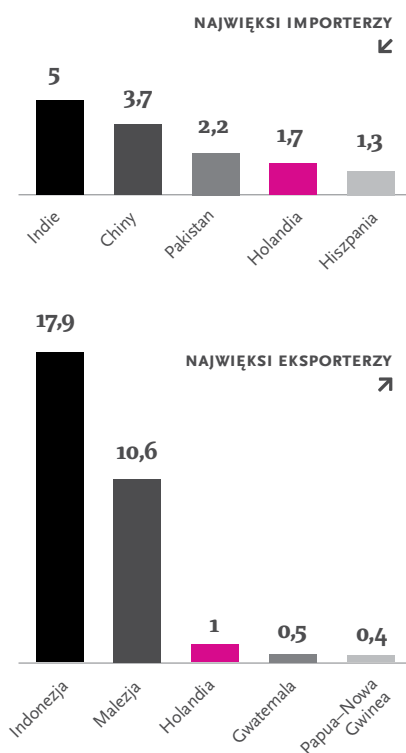
No i ostatnia sprawa. Aż dwie trzecie gruntów rolnych w Niderlandach – wskazywał oskarżycielsko Oudman – nie jest wykorzystywanych do uprawy jedzenia dla ludzi, ale dla zwierząt hodowlanych. Po kwiatkach największym rolnym produktem eksportowym Holandii są mięso i nabiał.

CO PANA NAPADŁO? – pytam doktora Thomasa Oudmana, kiedy się spotykamy na wirtualnej pogawędce czasów zarazy. – Atakować takiego celebrytę i zasłużonego przyrodnika jak David Attenborough!

– A, wkurzyłem się – odpowiada Holender i się uśmiecha. No tak, „Mag powinien być mądrzejszy” – myślę sobie, wspominając oskarżycielskie słowa, które w *Dwóch wieżach* J.R.R. Tolkiena (i Petera Jacksona) ent Drzewiec wyrzucił z siebie, patrząc na spustoszenie dokonane w jego ukochanym lesie przez orków czarnoksiężnika Sarumana.

HANDEL OLEJEM PALMOWYM

W miliardach dolarów w skali roku według danych z 2020 roku



Źródło danych: Observatory of Economic Complexity, opracowanie redakcji.

– Pisałem ten tekst z bólem. Większość *Życia na naszej planecie* jest świetna – dodaje mój rozmówca. – To rozczarowujące, że ta opowieść kończy się *greenwashingiem* [ekościemą – przyp. red.] i powtarza bzdury promowane przez wielki agrobiznes. Holenderskie rolnictwo nie jest rozwiązaniem problemu niszczenia środowiska naturalnego. Jest jego przyczyną! W Niderlandach toczy się teraz walka o przyszłość rolnictwa i środowiska naturalnego.

Ups, najwyraźniej sir David nieopatrznie stanął po złej stronie barykady.

– Podziwiam go, jeśli jest naprawdę tak miły, jak w swoich filmach, to krytyka na pewno mu nie przeszkadza – śmieje się Oudman. – Zresztą nie kierowałem tego listu tylko do Attenborough. – On ma już w końcu dziewięćdziesiąt sześć lat i nie wiadomo, na ile ten film i ta książka to wyłącznie jego dzieła.

Chwilę się zastanawiamy, co powodowało autorami *Życia...*, i dochodzimy do wniosku, że chęć *happy endu* za wszelką cenę. Jakże skończyć opowieść o zniszczeniu Ziemi, mówiąc, że zmierzamy ku zagładzie, i nic nie wskazuje na to, by udało się zmienić kurs Titanica, którym płynie cała ludzkość?

Oudman przyznaje, że jego złość miała przyczyny osobiste. Bada ptaki brodzące (poszukujące pokarmu w zalewanych przez wodę piaszczystych i mulistych brzegach), które żerują na holenderskim wybrzeżu, targanym przez pływy Morza Północnego. – Mamy tu jeszcze rycyki – mówi ornitolog. – Szacuje się, że Niderlandy są domem dla 90 procent ich europejskiej populacji, która nie tyle się zmniejsza, co po prostu ginie. Dlaczego? Bo po drugiej wojnie światowej uprzemysłowiliśmy rolnictwo. Rycyki rozmnażają się na łąkach, a w Niderlandach już prawie nie ma tych podmokłych i bioróżnorodnych, choćby półnaturalnych, niekoszonych, bo zostawionych na pastwiska dla bydła. Zastąpiono je monokulturami, plantacjami jednego gatunku trawy, które są osuszone, żeby mogły na nie wjechać traktory, i regularnie koszone, w tym wczesną wiosną, kiedy rycyki i inne ptaki mają okres lęgowy.

Według *Czerwonej księgi* prowadzonej przez Międzynarodową Unię Ochrony Przyrody rycyk jest gatunkiem bliskim zagrożenia.

– Zresztą, co się dziwić Davidowi Attenborough? – pyta retorycznie Oudman. – Sami Holendrzy nie rozumieją, jak bardzo zmienili naturalny krajobraz swojego kraju, wydzierając jedną czwartą jego powierzchni morzu. Budowa Afsluitdijk była przecież jedną z największych katastrof ekologicznych w Europie!

Kiedy zaczynano stawiać Afsluitdijk, ruch ekologiczny w Niderlandach już raczkował, jednak nie ważył się targnąć na święte prawo Holendrów do wydzierania ziemi wodzie. A pojedyncze głosy obrońców przyrody nie były brane poważnie. Spory fragment delty Renu został po prostu ogrodzony, zmieniony w słodkowodne jezioro i osuszony bez żadnej refleksji na temat ran zadanych naturze. – Zamknięto drogę do rozmnażania się między innymi łosiosom atlantyckim, które wpływały na tarło w górę rzeki – mówi ekolog. – Ważnym powodem budowy Afsluitdijk była duma narodowa i prestiż. Holendrzy chcieli pokazać światu, jakimi są świetnymi geoinżynierami – uważa.

Duża część krytycznego tekstu Thomasa Oudmana dotyczy ogrodnictwa szklarniowego. – Szklarnie mają zalety – przyznaje mój rozmówca. – Zajmują niewiele miejsca, wymagają stosunkowo niedużo wody i zużywają niewiele pestycydów. Natomiast potrzebują dużo nawozów sztucznych. Trzeba też stale dostarczać im energii cieplnej, a w eksperymentalnych uprawach wertykalnych także elektrycznej. W normalnych warunkach jedną i drugą za darmo zapewnia słońce.

—
CHCĄC SPRAWDZIĆ, jak to wygląda w praktyce, pewnego wietrznego i mokrego styczniowego dnia odwiedzam Stanisława Szybowskiego. Na rynku w Wieliczce, na którym w każdą sobotę robimy zakupy, Szybowski jest pomidorowym potentatem (i ogórkowym, ale niech żyją pomidory!). Pod straganem tego prosto się trzymającego, wysportowanego (ściga się na rowerze), szpakowatego mężczyzny ustawiają się kolejki. Szybowski przebiera w starannie posegregowanych pomidorach: te na kanapki, tamte do sałatek, a jeszcze inne na zupę.

– Sprzedają na targowiskach nawet do 70 procent zbiorów – chwali się. – Dzięki temu dostają lepszą cenę niż w hurtowni.

Mogę też bardziej zróżnicować towar. W hurtowni pomidory z wadami, nawet małymi, sprzedaje się w cenie odpadów. Na placu moi klienci rozumieją, że nie wszystkie pomidory nadają się do tego samego. – Szybowski na każdej złotówce wydanej na inwestycję zarabia co roku na czysto dwa–trzy złote. – Ale to ciężka praca, bez świąt i wakacji, żaden z moich synów nie chce przejąć upraw, nie chcą być uwiązani jak pies przy budzie – zaznacza. – No i jaki tam ze mnie potentat, ledwie mały ogrodnik. Potentaci to mają kombinaty szklarni na 40 hektarach gruntu. Zatrudniają pracowników, głównie spoza Unii Europejskiej. Ja mam pod folią ledwie niecałe 20 arów oraz 3 tysiące sztuk sadzonek pomidora i tysięcy ogórka. Pracujemy całą rodziną, czasem tylko proszę sąsiadów o pomoc.

Stoimy w jednym z pięciu tuneli foliowych w podkrakowskich Dziekanowicach (trzy z nich są nowe, z dobrze chroniącymi przed zimnem dwuwarstwowymi ścianami wypełnionymi powietrzem). Przed nami krajobraz po bitwie. Pod folią sterczą wyschnięte kikuty pomidorowych krzaków. Czekają na zebranie i spalenie. A jeszcze tydzień wcześniej Szybowski handlował pomidorami na targu!

– To były zbiory z połowy grudnia, zostały mi drobiazgi – uśmiecha się. – Tyle że zebrałem je trzy tygodnie wcześniej i zostawiłem, żeby dojrzały w magazynie w temperaturze 18–20 stopni. Teraz też mógłbym utrzymywać całe krzaki przy życiu pod folią, ale zużyłbym do tego tyle węgla, że byłoby to zupełnie nieopłacalne. No i prądu, bo musiałbym je doświetlać – przyznaje. – Nowe roślinki sadzę pod koniec lutego, a na przełomie kwietnia i maja pojawiają się pierwsze owoce – dodaje i opowiada mi o szklarniowej metodzie uprawy pomidorów. Rury z gorącą wodą idą pod roślinami i podgrzewają je oraz powietrze w tunelu nawet latem. – Dzięki temu nie trzeba pryskać pomidorów przeciw chorobom grzybiczym, na przykład zarazie ziemniaczanej [pomidory to amerykańscy kuzyni ziemniaków, oba gatunki, obok między innymi papryki i bakłażana, należą do rodziny psiankowatych – przyp. T.U.] – tłumaczy ogrodnik. – Wystarczy utrzymać w tunelu wilgotność powietrza nieprzekraczającą 80 procent.

W zasadzie jedynym problemem są szkodniki, ale na nie zamiast broni chemicznej mam biologiczną: entomofagi, czyli organizmy odżywiające się owadami [zazwyczaj inne owady – przyp. red.]. Chemia na dłuższą metę nie działa. Uciążliwe szkodniki, jak mączlik szklarniowy czy wciornastek, po prostu się na nią uodparniają.

Na rurach grzewczych jest ułożona słoma, na niej warstwa obornika, potem torf (żeby goły obornik nie kusił much czy innych owadów), a na tym wszystkim maty kokosowe, w których Szybowski wycina otwory, a następnie wsadza w nie doniczki z sadzonkami. Każda jest nawadniana kropelkowo – z podziurkowanych gumowych węży ukrytych pod matami. Nawadnianiem steruje komputer. W upalne dni w szczycie sezonu wegetacyjnego 3 tysiące krzaków pomidorów wypija nawet 7–8 tysięcy litrów wody na dobę. Temperaturę Szybowski ustawia im na wycucie, biorąc pod uwagę dużą bezwładność całego systemu. – Są oczywiście odpowiednie programy sterujące, ale wykorzystuje się je w dużych uprawach. Mnie wystarczy własne doświadczenie – wyjaśnia. – Wiem, że kiedy zbliża się chłodna noc, muszę napalić kilka godzin wcześniej. Nos podpowiada mi, jak mocno – uśmiecha się.

Szczególnie dumny jest z mat kokosowych. Mówi, że to jego własny pomysł. Zwykle w szklarniowych kombinatach ogrodniczych używa się tylko sztucznie nawożonej wełny mineralnej – bez warstw torfu, obornika i słomy. Zalety wielowarstwowego podłoża? Nie dość, że mata kokosowa utrzymuje dużo powietrza, które sprzyja korzeniom i nie dopuszcza do zalania ich wodą, to jeszcze wymienia się ją raz na kilka lat (a nie raz na rok) i można ją kompostować.

– Oczywiście zapewniam roślinom nawozy sztuczne i różne mikroelementy, wszystko w odpowiedniej dawce i o właściwym czasie, w zależności od tego, czego im akurat brakuje w danej fazie rozwoju. Robię analizę gleby – tłumaczy ogrodnik, kiedy patrzę na niego zdziwiony. – Ale rośliny dysponują też rezerwuarem składników odżywczych w oborniku. Dzięki temu owoce mają odpowiedni aromat, którego przemysłowym pomidorom brakuje.

Stanisław Szybowski ogrzewa swoje tunele miałem węglowym. W sezonie przepala